

A może być Boliwia cz. X

Akcje duszpasterskie

Chciałbym wspomnieć o czterech akcjach: odpust parafialny i jego przygotowanie, pielgrzymki piesze, dzień chorych oraz uroczystość Serca Jezusowego.

Nauczyłem się tego u o. Cezara w Puerto Quijarro. Potem starałem się wprowadzić to w San Antonio de Lomerío. Jednak dopiero tu, w San Ramón nabrało to już właściwego kształtu. Odpust parafialny przypadał 31 sierpnia. Dziewięć dni wcześniej zaczynała się nowenna. Przedtem wyglądała ona tak, że przed błogosławieństwem kończącym Msze św. czytało się jakieś modlitwy z kserokopi modlitewnika hiszpańskiego. Język tak stary i składnia gramatyczna zdań tak dziwaczna, że nikt nic nie rozumiał. W pierwszym roku wprowadziłem to, że każdego dnia nowenny Msza św. nie była odprawiana w kościele tylko przy grotach, codziennie w innej dzielnicy. Od Mercedarystów¹ z Hiszpanii dostałem formularz Mszy św. o św. Rajmundzie i trochę obszerniejszą jego biografię. W oparciu o te materiały napisałem tekst modlitw na nowennę. Rozesłałem go po wszystkich wioskach prosząc, by każdego dnia ludzie gromadzili się na modlitwie. Podobnie było z dzielnicami w mieście. Ludzi mieli zbierać się każdego dnia przy grotach by odmawiać te modlitwy, a ci, którzy mogli, mieli przyjść na Mszę św. Pierwszego roku sam poprowadziłem nowennę a na odpust zaprosiłem Biskupa pomocniczego z Santa Cruz Stanisława Dowłaszewicza². Następnego roku nowennę poprowadził o. Tadeusz Brzuszek, redemptorysta z Santa Cruz. On też był sumistą odpustowym. Podczas pierwszej nowenny, każdego dnia uczestniczyło we Mszy św. około 50 osób i jakiś 150 osób gromadziło się na odmawianiu nowenny przy wszystkich pozostałych grotach. Drugiego roku każdego dnia we Mszy św. uczestniczyło już około 200 osób. Podobnie było trzeciego roku, gdy nowennę poprowadził o. Marek Krupa, franciszkanin konwentalny z Santa Cruz. O. Tadeusz, a potem o. Marek przywieźli za sobą kleryków, którzy każdego dnia jechali na inną wioskę.

¹ Zakon Matki Bożej Łaskawej - hiszpański zakon, którego członkiem był św. Rajmund.

² Bp Stanislao Dowłaszewicz - franciszkanin konwentalny, pierwszy polski Biskup w Boliwii.

Oczywiście, nic nie może obejść się bez problemów i to najczęściej ze strony, z której najmniej się tego spodziewamy. Dzień odpustu był jednocześnie, jak w większości miast, gdzie jest jeden kościół, świętem tego miasta, a więc jest to dzień wolny od pracy i od zajęć szkolnych. Podczas pierwszego odpustu nie było w kościele dzieci i młodzieży bo dyrektor jednej ze szkół zorganizował bieg dla uczniów obu szkół w mieście. Uczestnictwo w zawodach było obowiązkowe i na ocenę. Kiedy niektórzy rodzice poszli do dyrektora, aby odwołał bieg, powiedział im, że muszą być wszystkie dzieci, bo burmistrz będzie oglądał zawody. Po odpuście burmistrz poinformował mnie, że o tych zawodach nic nie wiedział, a jak zawsze, z całą radą miejską, uczestniczył we Mszy św. Później dowiedziałem się, że ów dyrektor, który deklarował się katolikiem (choć nigdy nie chodził na Mszę św., porzucił żonę z dziećmi i żył z inną kobietą, z którą też miał dzieci), z poprzedniego miejsca pracy został usunięty za podobne „akcje” przeciwko Kościołowi i przeciwko władzom miejskim.

Następnego roku wymyślił sobie festiwal kultury. Występy miały być w przeddzień odpustu wieczorem. I znowu problem. Tłumaczył się, że przecież teraz nie wchodzi w program odpustu. Niestety wchodził. Zgodnie ze zwyczajem, w wigilię odpustu, po wieczornej Mszy św., przed kościołem były występy grup parafialnych i grup, które organizowały się w każdej dzielnicy. Również przygotowywano jedzenie, które później było rozdzielane pomiędzy wszystkich uczestników i widzów. Dyrektor o tym doskonale wiedział, ale zdaje się, że jego celem było zniszczenie tradycji parafii i miasta. Z naszej strony (mojej z radą parafialną) program nowenny i uroczystości odpustowych był przygotowany prawie pięć miesięcy wcześniej. Zaraz też przekazałem go burmistrzowi, na miesiąc przed odpustem jeszcze rozmawialiśmy o uroczystościach. Jednak na tydzień przed nim zebrały się władze miejskie, by ustalić program swoich obchodów. Oczywiście, respektowały (prawie) nasz plan. Po wielkich bojach burmistrza, dyrektor przeniósł swój festiwal na wieczór w dniu odpustu. Dla parafii to nie było żadne rozwiązanie. Spotkałem dyrektora i pytam:

- Czemu chce pan zniszczyć jedyną tradycję jaką ma miasto, czyli program odpustu?
- Przecież ja nic nie niszczę - odpowiedział - tylko ubogacam.
- Pan ubogaca? Tak jak w ubiegłym roku, nie pozwalając uczniom uczestniczyć we Mszy św.
- Ale teraz festiwal przenieśliśmy. Widziałem plan, który ma parafia. Festiwal z niczym już nie koliduje.

- Tak, czasowo nie koliduje. - powiedziałem - Ale znowu jest problem z uczniami. Przecież występy w parafii są organizowane przez młodzież również z pana szkoły.

- Ale w szkole organizują się klasami i robią to inni uczniowie w szkole i inni w parafii - tłumaczył.

- To się pan myli i nie zna swoich uczniów. Właśnie ci uczniowie, którzy są zaangażowani w parafii są też najbardziej aktywni w szkole. Niech pan przyjdzie choć raz w niedzielę do kościoła, to zobaczy pan, swoich uczniów, którzy śpiewają, czytają i służą do Mszy św.

- Ma ojciec rację. Ale teraz już jest za późno. Nie mogę nic odwołać, bo zaproszenia zostały rozesłane do sąsiednich miast. Obiecuję, że w przyszłym roku już się to nie powtórzy.

Oczywiście obietnicy nie dotrzymał. Ale tym razem także miasto dało plamę. Sami sobie zaplanowali, że w wigilię odpustu wieczorna Msza św. będzie trwała pół godziny, a występy przez następne pół, więc po nich zaczną swój program przez całą noc, aż do Mszy św. o godzinie 9.00. O tych pomysłach mnie nie powiadomili. Na kilka dni przed uroczystością przyszło pewne małżeństwo z pytaniem:

- Ojciec, my byśmy chcieli uświetnić uroczystości i postanowiliśmy zamówić firmę, która robi pokazy sztucznych ogni. Co ojciec na to? Zgodzi się ojciec?

- Bardzo mi się to podoba. - powiedziałem - Gdzieś koło godziny 22 zakończą się występy, to może zaraz po nich.

- Ale taki pokaz trwa od półtorej do dwóch godzin.

- No to wszystko idealnie pasuje - odrzekłem - bo o północy grają pod kościołem serenadę i na tym kończą się obchody wigilii.

- To dobrze. Tak zrobimy. Dziękujemy, że ojciec się zgodził.

- To ja wam dziękuję.

Wszystko poszło jak w szwajcarskim zegarku. I występy i sztuczne ognie (zwłaszcza tymi ostatnimi ludzie byli bardzo zachwyceni). No i punktualnie o godzinie 24.00. została odegrana serenada. A potem zamknąłem kościół i poszedłem spać.

A co się działo po przeciwnej stronie placu? Ustawiono namioty ze stolikami i sprzedają piwa oraz jedzenia, scenę z potężnym nagłośnieniem. Czekal zaproszony zespół, miały być wybory lokalnej miss piękności, czekali sprzedawcy, tylko nie było ludzi. Nie przyszli, bo trwały tradycyjne występy przed kościołem, a potem pokaz sztucznych ogni. Postanowili więc przesunąć program na po północy. No ale zaraz po godzinie 24 zaczęło padać, więc wszyscy uciekli do domu. Lało całą noc, lało rano. Myślałem, że będziemy odprowadzali w pustym kościele, a tu ludzi jak na pasterce - pełen kościół. Po

Mszy św. nie mogła być wyjątkowa, bo cały czas lał deszcz. Zrobiłem więc wystawienie Najśw. Sakramentu i nabożeństwo jak w każdy wtorek. Po uroczystościach nikt nie zatrzymał się na piwie, wszyscy uciekali do domów. Po południu też lało, więc namioty pozwijano i sklepikarze bez zysku wynieśli się. Wieczorem, w szkole miał odbyć się festiwal. Niestety, uczestnicy nie dopisali - deszcz. A choć imprezę rozpoczęto, to i tak musiano ją przerwać z powodu coraz silniejszych opadów. Trzeba przyznać, że ten deszcz był czymś wyjątkowym, bo o tym czasie trwa jeszcze pora sucha.

Myślałem, że burmistrz coś powie, iż przez parafię (chodzi o ten czas od godziny 20.00 do 24.00) miasto nie mogło zrealizować swojego programu. Jednak kompletnie mnie zaskoczył rok później. Kiedy rozmawiałem z nim o programie odpustu usłyszałem bardzo poważne oświadczenie:

- Ojciec, parafia przygotowała cały plan już w kwietniu, ponad cztery miesiące przed odpustem. My robiliśmy na ostatnią chwilę. W pośpiechu nie wzięliśmy pod uwagę wszystkiego co robi parafia. Weszliśmy w wasz plan i Bóg nas ukarał. Nic z naszego programu nie wyszło, a w czasie nowenny ludzie ładnie uczestniczyli, wigilia też się udała, no i pomimo takiego deszczu, ludzi na Mszy odpustowej było bardzo dużo. Dlatego też wydałem zarządzenie, że w czasie nowenny, w dzielnicy gdzie będzie Msza św. nie może grać nigdzie głośno muzyka, żeby nie przeszkadzać. Po wielkich bojach, nakazałem dyrektorowi, że jego festiwal odbędzie się tydzień po odpuście. Sam dzień odpustu, piątek, będzie dniem wolnym. Nasz program zaczynamy dopiero w dzień odpustu po południu i przez całą sobotę. Oczywiście, skończymy wszystko do wieczornej Mszy św., żeby nie przeszkadzać.

Nowenna przebiegała spokojnie. Nigdzie w pobliżu nie było głośniejszej muzyki. Tak trwało do czasu, gdy Msza św. miała być odprawiona przy grocie w pobliżu szkoły. Właśnie w ten i tylko w ten dzień zaplanowano jakieś występy. Msza św. była o godzinie 19.30, a w szkole miało zacząć się o godzinie 21.00, jednak muzykę włączono już o godzinie 19.00. Poszedłem do szkoły. Dyrektora podobno nie było. Zapytałem:

- Znacie zarządzenie burmistrza o nie przeszkadzaniu w nowennie?

- Tak. Ale my w niczym nie przeszkadzamy, bo zaczniemy dopiero za dwie godziny.

- Ale hałas robicie już teraz. Obok szkoły ludzie są przy grocie i modlić się nie mogą. Proszę natychmiast to ściszyć.

Posłuchali i ściszyli, ale tylko na pół godziny. Kiedy rozpoczęliśmy Mszę św., znowu rozkręcili muzykę. Był straszny hałas. Ludzie byli zbulwersowani. Wiem, że pote dyrektorowi oberwało się solidnie od ludzi i od władz miasta.

Druga rzecz to piesze pielgrzymki, które były organizowane dwa razy w roku. W dniu 29 sierpnia do Santa Rosa de la Mina (11,5 km) i 7 grudnia do grotty z figurą Matki Boskiej na drodze do Ascensión (8 km). Gdy szła pierwsza w mojej kadencji pielgrzymka do Santa Rosa, w tym czasie miałem zastępstwo w San Javier. Tylko z samochodu mogłem „podziwiać to чудо”. Z pielgrzymką nie miało nic wspólnego. Grudniowa pielgrzymka była jeszcze gorsza, bo szła już po zachodzie słońca na drodze, po której jeździ sporo samochodów w tym ciężarówki, a ich średnia prędkość to 120 km/h. Wiedząc już jak to funkcjonuje, w następnym roku zacząłem działać. Kupiłem 100 m liny, wyznaczyłem odpowiedzialnych i kazałem iść jedną stroną jezdni. Oczywiście ci odpowiedzialni i lina była tylko ozdobą, bo ludzie szli tak jak zawsze. Ale pierwszy krok już został zrobiony. Na następnej pielgrzymce z kościoła wyszliśmy jak zawsze i doszliśmy do cmentarza za miastem. Wtedy wszystkim kazałem wejść na cmentarz. Tam była modlitwa za zmarłych. W tym czasie odpowiedzialni za porządek, po hiszpańsku zwani cabildos, ustawili się na drodze w taki sposób, że liną odgradzili połowę szerokości jezdni. Ludzie wychodząc z cmentarza weszli w tę odgradzoną część. Kiedy wszyscy już znaleźli się na jezdni, wtedy wspólnie ruszyliśmy w dalszą drogę. Teraz wszyscy szli jedną stroną, dzieci nie biegły do przodu, nikt nie zostawał z tyłu. Podczas całej drogi były prowadzone śpiewy i modlitwy. Trzeba zaznaczyć, że w każdej z pielgrzymek szło około 1000 osób. Poprosiłem jednego z kierowców, który jechał za nami, aby z zapalonymi światłami awaryjnymi jechał na czele pielgrzymki. Na początku kilka osób się buntowało, że muszą „iść pod sznurek”, ale inni im wytłumaczyli, że to przecież jest dla ich własnego bezpieczeństwa. Poskutkowało. Następne pielgrzymki już przebiegały tak samo. A dla mnie wielkim zaskoczeniem było pytanie, które usłyszałem od kilku osób, gdy się dowiedziały, że odchodzę z parafii:

- Czy ten nowy ojciec, który przyjdzie, też dopilnuje, żeby pielgrzymki szły porządnie, a nie w takim bałaganie jak kiedyś?

Następną akcją był dzień chorych. W pierwszym roku, w sobotę przed odpustem postanowiłem zorganizować taki dzień. W programie miała być okazja do spowiedzi, potem Msza św. z sakramentem namaszczenia, a później spotkanie przy kawie. Powiedziano mi, że jeden z moich poprzedników chciał też to zrobić i przyszły dwie osoby. Mówię sobie: trudno, trzeba spróbować, jak nie wyjdzie, to nie będę tego powtarzał. Poprosiłem liderów religijnych ze wszystkich dzielnic, by zorientowali się, ilu jest chorych i starszych, którzy nie mogą sami przyjść do kościoła. Zaangażowały się też zakonnice i szpital (własność Wikariatu). Od godziny 8.00 zaczęła się spowiedź i przybyły pierwsze osoby. Spowiedź trwała do godziny 10.00, wtedy rozpoczęła się

Msza św. Po wszystkim przeszliśmy do refektarza na probostwie, gdzie dla wszystkich były ciastka i kawa. Uczestniczyło około 50 osób. Najważniejsze było to, że kilkoro z nich, którzy chorowali od ponad dwudziestu lat, przez ten czas nie wychodziło z domu i teraz po raz pierwszy było w kościele, a przy stole mogło porozmawiać z dawnymi przyjaciółmi i znajomymi. Bardzo wielu z uczestników miało łzy radości w oczach. Od tego czasu takie dni były organizowane dwa razy w roku: w sobotę koło 11 lutego i w sobotę podczas nowenny przed odpustem. Zawsze w homilii mówiłem chorym o tym, co robimy w parafii, o problemach, o planach na przyszłość i prosiłem ich o modlitwę w tych wszystkich sprawach. Dziś wierzę, że wiele dobrych rzeczy, które udało się zrobić, mogę zawdzięczać ich modlitwie.

I wreszcie ostatnia sprawa: uroczystość Najśw. Serca Jezusowego. Najpierw jedna uwaga: w pracy duszpasterskiej nie ma reguł. To co wspaniale wychodzi w jednej parafii, w innej nie przyjmuje się. Dlatego też trzeba eksperymentować: wyjdzie coś, to można kontynuować, a nie wyjdzie, to trzeba szukać czegoś innego. W moim rodzinnym mieście był zwyczaj, że w uroczystość Serca Jezusowego organizowało się procesję z Najśw. Sakramentem do jednego ołtarza. Tam odmawiano akt oddania miasta Najśw. Sercu Pana Jezusa. Przyszło mi na myśl, że coś takiego można też zrobić w San Ramón. Po Mszy św. wieczornej miała być procesja i akt oddania. Uroczysta Msza św. była przygotowany, ołtarz na placu też, a w kościele około 30 osób. Trudno - pomyślałem - nie chwyciło. Gdy następnego roku, jeszcze przed Wielkanocą, ustaliliśmy na radzie parafialnej sprawy związane z Bożym Ciałem, wówczas jedna z pań zapytała:

- W uroczystość Serca Jezusowego też będzie procesja?

- Chyba nie. - odpowiedziałem - W ubiegłym roku ludzie nie przyszli.

- To nic - powiedział ktoś inny - w tym roku na pewno przyjdzie więcej ludzi.

- No dobrze, to zrobimy procesję.

W uroczystość, gdy dziesięć minut przed Mszą św. szedłem do zakrystii, w kościele było najwyżej z piętnaście osób. Mówię sobie: jeszcze gorzej niż w ubiegłym roku. Jednak gdy wychodziłem z zakrystii do ołtarza, zobaczyłem, że jest tyle ludzi, co na niedzielnej Mszy św. - wszystkie ławki zajęte, a jeszcze stali w wejściu. Jednak chwyciło!

Ale też czas był bardzo trudny. Od trzech tygodni w San Julián zwolennicy partii opozycyjnej, która chciała przejąć władzę, blokowali jedyną drogę, która prowadziła na Chquitos, Guarayos i do Beni. Brakowało wszystkiego, groziło rozruchami i przelewem krwi. Dzisiaj, tak jak i wtedy nie mam żadnych wątpliwości, że to, co się stało było właśnie owocem aktu oddania parafii Najśw. Sercu Jezusowemu. Kilka dni po tej uroczystości do

San Ramón zjechali się przedstawiciele wszystkich miast odciętych blokadą. Po mieście krążyły wiadomości, że przyjechali po to, by siłą odblokować drogę, że organizuje się także ludzi z San Ramón. Wtedy dotarła wiadomość, że blokujący kończą swój protest i za kilka godzin droga będzie przejezdna. Około godziny 22 rozeszła się pogłoska, że blokada trwa, a od San Julián idzie w kierunku San Ramón około 5000 uzbrojonych mężczyzn, by spalić elektrownię. Zaczęli nawoływać, by ludzie chwycili za broń i ruszali w kierunku San Julián. Już później okazało się, pojawiło się kilku prowokatorów, a wśród nich i tacy, którzy nie tak dawno wyszli z więzienia, gdzie siedzieli za zabójstwa. Przez kogo byli nasłani, tego nie udało się ustalić. Ludzie zebraли się na placu, był też burmistrz, radni. Poszedłem do nich i powiedziałem, że mają czekać i nic nie robić, a ja dzwonię do proboszcza w San Julián, aby sprawdzić, co się dzieje. Proboszcz stamtąd powiedział, że nic nie wie o tym, ale zapytał burmistrza. Za chwilę dzwonił burmistrz, który zapewniał, że nic takiego nie ma miejsca i, że za chwilę droga będzie odblokowana. Oni tylko czekają na telefon z La Paz, ale to jest kwestia najwyższej godziny. Na wszelki wypadek kazałem mu wysłać samochód, by sprawdził, czy jakaś grupa od nich nie wyrwała się spod kontroli. Obiecał, że to uczyni i za jakieś pół godziny zadzwoni. Wtedy ludzie powiedzieli mi, że jakaś grupka poszła już na most na rzece San Julián i tam czekają, aż dojdzie reszta z San Ramón. Wówczas zdecydowałem się podjechać do nich, by powstrzymać ich przed robieniem jakiś głupot. Kilka osób chciało jechać ze mną. Powiedziałem, że nie, że pojedę sam. Nikt się nie buntował. Kiedy dojechałem do mostu, spotkałem tam około 30 osób. Jakiś mężczyzna ubrany w panterkę, grożąc mi karabinem, wykrzykiwał bzdury, że popieram tych z San Julián, i że chcę, aby zniszczono elektrownię. Powiedziałem, że przyjechałem aby powiadomić ich, że nikt nie idzie na elektrownię, a droga jest już rozblokowywana. Ten typ dalej wykrzykiwał, a inni słuchali tego, co im mówiłem. Tym, który straszył mnie karabinem, był ów prowokator. Byli z nim jego kompani, ale większość przebywających na moście nie należało do jego bandy, a byli to ludzie z San Ramón. W końcu ów krzykacz ze swoimi kompanami odszedł na bok, pozostali przy mnie tylko moi parafianie. Prawdopodobnie prowokator zdał sobie sprawę, że ludzie z San Ramón nie popierają go, no i jest ich więcej, więc nie ryzykował by dalej mnie atakować. Ale teraz już byłem pewien, że moi parafianie się nie ruszą. Zresztą kilku mnie zapewniło, że teraz zostaną na moście, by nie dopuścić do jakiś prowokacji. Wróciłem do miasta. Ledwie tylko dojechałem do placu, usłyszałem:

- Nic ojcu się nie stało? Nie pobili ojca?

- Nie. - odpowiedziałem - Jeden trochę krzyczył, ale byli tam nasi, więc nic się nie stało. A skąd wiecie, że chcieli mnie pobić.

- Bo nasi mieli telefony komórkowe i dzwonili z mostu, żeby przyjechało więcej ludzi aby ojca ratować.

- Na szczęście nic się nie stało, a nasi na moście już nie dadają się pociągnąć przez prowokatorów.

W tym momencie zadzwonił nasz Biskup. Właśnie dostał wiadomość, że blokada się skończyła. Po nim dzwonił burmistrz z San Julián potwierdzając wiadomość o rozblokowaniu drogi. Poinformował mnie też, że droga została sprawdzona i nie ma żadnej grupy, która idzie na San Ramón. Wszystko skończyło się bez rozlewu krwi. Na koniec zebrani na placu poprosili o błogosławieństwo i wrócili do domów. A kiedy telefonicznie powiadomiono tych, którzy byli na moście, że blokada się skończyła okazało się, że prowokatorzy już gdzieś zniknęli.

Teraz mogę powiedzieć, że był to prawdziwy cud, który zawdzięczmy oddaniu się parafii i miasta Sercu Jezusowemu. Na czym on poległ? W tak napiętej sytuacji, kiedy to przyjechało do miasta kilka autokarów z ludźmi gotowymi na walkę, pojawili się prowokatorzy, którzy chcieli tę walkę sprowokować. Nasi parafianie otrzymali wyjątkowy dar roztropności i posłuszeństwa. No i z wyjątkową mądrością nie ulegli prowokacjom i nie sięgnęli po broń.

Następnego roku, w czasie kiedy przypadła uroczystość Serca Jezusowego, byłem na urlopie w Polsce. Mszę św., procesję i akt oddania prowadził proboszcz z sąsiedniej parafii³. Uczestniczyło jeszcze więcej ludzi, niż rok wcześniej.

Budowa przedszkola

Przychodząc do San Ramón dowiedziałem się, że muszę dokończyć budowę przedszkola. Sprawa wydawała się bardzo prosta, bo ściany były wyciągnięte na dwie cegły ponad otwry okienne ale... konto było puste. Jak dokończyć budowę, która ciągnęła się od sześciu (!) lat, a budynek to zaledwie trzy sale i jedno pomieszczenie z ośmioma ubikacjami, umywalnią i prysznicem? Kilka lat temu kupiono teren na przedszkole, który nie nadawał się pod zabudowę. Miasto wyznaczyło inny teren wóczas mu podlegający, ale będący własnością pewnej spółdzielni, która zawiesiła (nie zakończyła) swoją

³ Ks. René Sandoval - Boliwijczyk, mój następca w San Ramón.

działalność. Sprawa własności gruntu nie została załatwiona, a już rozpoczęto wylewanie fundamentów nie mając nawet całego planu, nie zrobiono więc żadnej konsultacji. Do tego, wcześniejszy projekt przewidywał pięć sal i ubikacje w jednym budynku, drugi budynek miał być administracją oraz kryty korytarz o powierzchni 60 m² (30 m x 2 m - całkowicie niefunkcjonalny). W koszty nie było wliczone ogrodzenie, plac zabaw i umeblowanie. Koszt samych budynków został wyliczony na 120000 \$. Następnie projekt został okrojony z pięciu do trzech sal (całą reszta pozostała bez zmian) i wyliczony na prawie 86000 \$. Ten projekt zaczęto realizować. Za całą budowę miał być odpowiedzialny komitet, w którym proboszcz, według polecenia poprzedniego Biskupa, musiał być skarbnikiem. Do finansowania projektu zobowiązała się pewna rodzina z Niemiec wraz z rodzicami dzieci z dwóch przedszkoli parafialnych. Jednak z tym finansowaniem sprawa nie była do końca dogadana, bo Niemcy powiedziano, że oni będą finansowali 30%, własnym wkładem komitetu będzie 10%, a 60% da nasz Biskup. Dziwne tylko, że nigdy nie powiadomiono, Biskupa o takim sposobie finansowania, a Niemców o całkowitym koszcie projektu. Pierwsza faza budowy, to miał być budynek z salami i ubikacjami. Wyliczony był na prawie 60000 \$. Podobno, na kupno terenu i postawienie ścian tak, jak je zastałem, Niemcy dali 12000 \$ (nie wiem dokładnie, bo nigdy nie przedstawiono mi żadnych sprawozdań ekonomicznych). Zaraz po moim przyjeździe do San Ramón przyjechał też reprezentant sponsorów i przywiózł 6000 \$. Otrzymałem też zapewnienie, że pieniądze są i mam go powiadomić, gdy konto będzie puste, a zaraz mi przyśle. Uregulowałem sprawę terenu i otrzymałem akt własności (właścicielem był Wikariat, zgodnie z sugestiami Biskupa i sponsorów). Został zatrudniony nowy murarz odpowiedzialny za budowę, kupiłem drewno na dach, rury kanalizacyjne i... pieniądze się skończyły. Posłałem wiadomość do Niemiec z informacją o tym, co zostało zrobione, ale pieniądze nie przyszły. Jeszcze z dwa razy ponowiłem wiadomość i nic. W tym też czasie członkowie komitetu budowy, którzy i przedtem nie wiele robili, teraz uświadamiając sobie, że zawaliли sprawę z finansowaniem projektu i nie mają możliwości zdobycia więcej pieniędzy, stwierdzili, iż nie mają czasu na dalszą pracę w komitecie, więc nie będą nic robić. Po roku Niemiec znów przyjechał. Na konto wpłacił 3500 \$. Obejrzał budowę i bardzo się zdziwił, że pierwsza faza projektu jeszcze nie jest ukończona. Poprosił o kosztorys całego projektu. Dałem mu go wraz ze sprawozdaniem z wydanych pieniędzy. Choć atmosfera była zimna, to stwierdził, że pieniądze zostały dobrze wydane i dołożył jeszcze 1000 \$. Nie wiedziałem, o co w tym wszystkim chodzi, bo on był z zawodu budowlańcem, więc musiał zdawać sobie sprawę ile mogłem zrobić

za 6000 \$, które otrzymałem w ubiegłym roku. Czemu więc miał do mnie pretensje, że jeszcze nie skończyłem budowy? Po pewnym czasie Biskup dostał list z Niemiec ze skargami, że przecież oni tyle zainwestowali, a robota jeszcze nie skończona. Razem z Biskupem myśleliśmy, że jest to skarga na mnie. W rzeczywistości były to pretensje do Biskupa, że budowa nie postępuje. Postanowiłem teraz inaczej zabrać się za finansowanie projektu. Wysłałem więc do Niemiec list, w którym przypomniałem, w jakim stanie otrzymałem budowę. Poprosiłem, aby poinformowali mnie, czy mogą coś jeszcze dać i ile, bym mógł zrobić jakiś plan finansowania oraz, bym wiedział ile muszę szukać w innych instytucjach, bo przecież nie można kontynuować projektu nie mając zapewnionych pieniędzy. Nie dostałem żadnej odpowiedzi. Za to przyszedł kolejny list do Biskupa (mówiąc delikatnie: mało uprzejmy), w którym zarzucano mi że domagam się od nich pieniędzy pomimo że, oni już prawie wypełnili swoje zobowiązanie 30%; co prawda, do owych 30% brakuje jeszcze 2000 \$, ale oni natychmiast mi je przysła (te pieniądze już nigdy nie nadeszły). Teraz w imieniu Biskupa i własnym odpisałem, że nie domagałem się żadnych pieniędzy, pytałem tylko, czy mają taką możliwość i jeśli tak, to proszę o informację. Poza tym, o takiej umowie 30% i 60% tak Biskup, jak i ja nic nie wiedzieliśmy a jedynie wiedzieliśmy, że jako wkład własny komitetu miało być 10%. Nie wiedziałem również, że wcześniej nie powiadomiono Niemców o całkowitym koszcie projektu. Także poinformowałem, że nie mogę brać odpowiedzialności, za to wszystko, co zostało zrobione przed moim przyjściem do San Ramón. Znowu nie dostałem żadnej odpowiedzi. Jednak, dzięki większemu wkładowi własnemu, pomocy Biskupa oraz zmianie projektu, doprowadziłem budowę do przedszkola do końca (nie został wybudowany tylko budynek administracyjny). Zostały zrobione meble, plac zabaw z wieżami, zjeżdżalniami i huśtawkami. Cały teren został ogrodzony. Zamiast niefunkcjonalnego zadaszonego korytarza, powstała wiata o powierzchni 100 m² (z bambusa przykryta dachem z liści palmowych, która nawiązywała stylem do placu zabaw) i była typowa dla lokalnej architektury. To wszystko zamknęło się w kwocie 46000 \$, a według pierwotnego projektu powinno kosztować ponad 80000 \$. W listopadzie 2006 roku odbyło się poświęcenie przedszkola. Po Mszy św., której przewodniczył nasz Biskup poinformowałem o realizacji projektu za moich czasów. Niemcy, którzy przyjechali na tę uroczystość, byli zaskoczeni tym, co zostało zrobione i o ile udało się obniżyć wszystkie koszty. A jeszcze bardziej zaskoczyło ich to, że otrzymali siedemdziesięciostronicową książkę ze sprawozdaniem finansowym, w którym dokładnie zostały rozliczone dochody i wydatki wraz z załączonymi kserokopiami wszystkich rachunków.

Aby przedszkole mogło funkcjonować, została także podpisana umowa pomiędzy parafią, władzami miasta i szkołą. W ten sposób przedszkole stało się publicznym. Parafia dawała teren i wyposażony budynek przedszkola, miasto zapewniało odpowiednią ilość etatów i utrzymanie, a szkoła miała zapewnić opiekę pedagogiczną. Zastrzeżono w umowie, że etaty mogą otrzymać tylko katolicy, co przy wzrastającej aktywności sekt i przy wciskaniu się ich do placówek oświatowych, gwarantowało również poszanowanie wolności religijnej dzieci.